

WIESŁAW PAWEŁ SZYMAŃSKI
Kraków

JESZCZE JEDNO ZŁUDZENIE

A więc w podróż do Polski udał się książę Adam pociągiem. Czy była to pierwsza podróż księcia tym nowoczesnym środkiem lokomocji? Na pewno była najdłuższa. Drzeworyt z roku 1847 przedstawia *Obrazki z pociągu na wyścigi w Epsom*. Przed wagonem pierwszej klasy przechadzają się panowie we frakach i tużurkach, w cylindrach na głowie. Wewnątrz siedzi już wygodnie kilka osób, wyglądają przez okna. Przed wagonem drugiej klasy szturm pokazanej gromady ludzi do drzwi przedziałów. A wagon klasy trzeciej to po prostu odkryta platforma, na której widać różnobarwny, wesoły tłum, śpiewający i wymachujący chorągwiemi, nie ma się wątpliwości, że to prawdziwi kibice.

Książę Adam, choć nigdy nie był człowiekiem rozrzutnym – znana była jego jednokonna karetka, którą jeździł po Paryżu – na pewno podróżował klasą pierwszą, choćby ze względu na swój wiek i znaczenie. Prawdopodobnie chwalił sobie ten rodzaj lokomocji. Do kwietnia było już wprawdzie niedaleko, lecz dnie nastaly znowu zimne. W powozie musiałyby się otulać pledami, a tutaj, w wygodnym przedziale, na pluszowej kanapce, ciepło przyjemne rozchodzi się z ukrytych pod siedzeniami rur. Można wyprostować nogi, wstać, przejść się kilka kroków. Nawet wciskająca się przez niezbyt szczelne okna para i drobny pył węglowy są niczym w porównaniu z kurzem unoszącym się na traktach. No, i przede wszystkim szybkość. Nie zaryzykowałby tak dalekiej drogi nawet w najwygodniejszym powozie.

Księżciu Czartoryskiemu towarzyszyła w podróży „cała banda”: Teodor Morawski, Bystrzonowski, generał Chrzanowski. Obecność tego ostatniego stała się pewną niespodzianką. Chrzanowski boczył się nieco na księcia, o czym wszyscy wiedzieli, uważał bowiem, że foruje on generała Dembińskiego. Wymienić jeszcze należy Józefa Tańskiego, jadącego w charakterze korespondenta „Les Debats”, dziennika od dawna ściśle związanego z Hôtel Lambert.

Jak zwykle się dzieje, w pierwszej fazie podróży musiało być bardzo wesoło. Choć chyba nie jest to najlepsze określenie. Panował raczej entuzjazm patrio-

tyczny, jakaś gorączkowość wyczekiwania. Wszyscy po latach udawali się przecież do Polski. Tam, w Poznaniu i w okolicy, ojczyzna ta już jest, już się rodzi, lada chwila przekroczone zostaną dalsze granice, wtedy, gdy Prusy wydadzą wojnę Rosji... Książę Adam nie był jednak nigdy naturą euforyczną. Poddawał się nastrojom radosnym i wzniosłym, to prawda, lecz szybko je w swojej osobowości wyciszał. Tym szybciej, im więcej lat miał za sobą. Doświadczenia upływającego czasu mówiły mu bowiem, że po nadziei, nieraz bardzo bliskiej zrealizowania, po momentach radości i spokoju przychodzą szybko, nieraz prawie natychmiast, okresy rozczarowań, niepowodzeń, rozpacz. I dlatego nie trzeba zbyt ulegać euforii, aby pozostawała owa niezbędna siła i część energii, woli życia i działania, które nie tylko ułatwią przetrwanie kolejnego kryzysu, lecz i pozwolą w czasie jego trwania rozmyślać i pracować, przygotowywać kolejne plany. Plany zawsze w życiu księcia Adama te same: wyrwania ojczyzny ze szponów zaborców.

Kiedy więc już wszyscy nagadali się, kiedy rozmowa zaczęła się rwać i następowały w niej coraz dłuższe przerwy, książę Adam częściej patrzył na przesuwane się za oknem krajobrazy, na pola pokryte zielenią oziminy, na rosnące wzdłuż torów krzewy i drzewa z wyraźnie nabrzmiałymi pączkami, niektóre nawet z niewielkimi, lecz już wyraźnymi liśćmi. Wkrótce jednak ten krajobraz zaczął księcia nużyć swoją monotonią. I wtedy zapewne zaczął rozmyślać nie tyle o tym, co czeka go u końca podróży, ile o wszystkim, co podróż tę poprzedzało. I o tym także, co należało zrobić już, natychmiast. Im bardziej wędził się w lata ostatnie, poprzedzające tę jego wielką podróż, tym większy smutek go ogarniał i niezadowolenie. Ileż siły i energii, a także pieniędzy, włożył w to, aby doprowadzić do niepodległości własnego narodu i owych licznych narodów na południu Europy? Aby doprowadzić do osiągnięcia porozumienia czecho-słowacko-madziarskiego na północy tego obszaru, a chorwacko-serbsko-węgierskiego i węgiersko-rumuńskiego na południu? Ileż listów i memoriałów utajonych wysłał przez specjalnych emisariuszy, żeby wytłumaczyć i przekonać, że tylko w federacji ziem naddunajskich, poza Austrią, ukrywa się jedyny *modus vivendi* sprzecznych interesów, a przede wszystkim odmiennych dążeń narodowych? Jedyne Polska, ta Polska na razie bezpaństwowa, mogłaby stać się osłoną dla Słowiańszczyzny. Doniesiono mu z Wiednia, że na dworze austriackim już teraz sobie żartują, jakoby Węgrzy sami się nazwali „La Republique polono-hongroise”. W tym austriackim gadaniu jest ironia i bolesny żart, lecz tylko dzisiaj. A gdyby tak przyszłość obróciła żart w fakt prawdziwy? Z czegoż by sobie wówczas Habsburgowie żartowali? Na razie próżne wysiłki. Kossuth, wydaje się, całkowicie nie rozumie jego myślenia. Ale wtedy, gdy minie euforia madziarskiego nacjonalizmu, czy nie będzie za późno, aby błędy naprawić?

Ten niepodległościowy sławofilizm Czartoryskiego spotkał na południowej Słowiańszczyźnie silnego przeciwnika w postaci rosyjskiego panslawizmu. Mikołaj I nie był wprawdzie jego oficjalnym propagatorem, lecz nie sprzeciwiał się mu, a nawet po cichu popierał jego rozprzestrzenianie poprzez działalność niektórych rosyjskich dostojników, takich choćby jak minister Uwarow czy minister, a później kanclerz Nesselrode, wieloletni dobry znajomy księcia Adama. Było to oddziaływanie na płaszczyźnie myśli, idei, edukacji, a także, co wywoływało w ubogich narodach o wiele mocniejszy oddźwięk, za pomocą środków materialnych. Wiele tysięcy rubli inwestowano przez lata w Bałkany.

Boleśniej był jednak książę Adam zaniepokojony panslawizmem przenikającym do Polski, zwłaszcza od czasów rabacji galicyjskiej. Słynny *List szlachcica polskiego do księcia Metternicha* Aleksandra Wielopolskiego znalazł w narodzie polskim, zwłaszcza na terenie zaboru rosyjskiego, dość duży oddźwięk. Przeczynał książę, i słusznie, że w młodszym o lat trzydzieści margrabim znajdzie groźnego przeciwnika, dzięki któremu siły narodu mogą z czasem ulec rozdwojeniu. Do tej pory, choć w porównaniu z potęgą imperatora Rosji nie miał właściwie nic, nie obawiał się cara Mikołaja. Potęga materialna jest niekiedy równoważna z potęgą uczuć zawartych w ideach. Teraz, gdy przeczywał, że za Wielopolskim, nawołującym do politycznej bierności narodowej, mogą pójść inni, uwiedzeni głoszonym „realizmem” i „pozytywizmem”, zaczął się w nim ujawniać lęk, że Mikołaj okaże się jednak w końcu zwycięzcą.

Był już imperator Wszechrosji od dawna potęgą, przed którą drżała Europa. Nie miał co do tego książę Adam żadnych złudzeń. Jeszcze przecież przed podróżą nawiązał zaniedbany nieco kontakt z Anglią. Wierny zawsze sprawie polskiej lord Dudley Stuart doniósł mu bardzo szybko, że rząd angielski, jak zawsze, od czasów insurekcji listopadowej, w czasie której to w jej imieniu działał w Londynie margrabia Wielopolski, a później Niemcewicz i Zamoyski, zajmuje to samo stanowisko: „Nie jest rzeczą polityki angielskiej interweniować w jakimkolwiek sensie między Polską a Rosją”. Słowa te wypowiedział premier John Russel. Minister Palmerston powtórzył natomiast to samo – pisał dalej Stuart – co już w latach trzydziestych usłyszeć można było z ust polityków francuskich: „Gdyby się im udało zdobyć Podole i Wołyń, można by zrobić coś dobrego”. Jak to sobie Palmerston wyobraża? Tak bez niczyjej pomocy mają Polacy odbierać swoje ziemie? Ale mimo wszystko w tej wypowiedzi angielskiego polityka był jakiś cień nadziei. Okruch dobrej woli. Czartoryski jednak, jadąc pociągiem do Berlina, nie wiedział, że Palmerston miał i inne jeszcze oficjalne wypowiedzi.

Gdy się nie ma nic, nawet i okruch bierze się za dobrą monetę. Czartoryski liczył więc wówczas na Anglię. Myślał, że flota brytyjska wypłynie na Bałtyk. Liczył jednak przede wszystkim na nową Francję. Z latami przekonywał się

przecież, że na upadłą obecnie monarchię burbońską nie ma się co oglądać. W królu Ludwiku Filipie tkwił przed carem Mikołajem jakiś dziwny lęk graniczący z podziwem. Lęk człowieka, który się obawia, że nie pozwoli mu się wzbogacać. Może nawet lęk uzasadniony, wynikający nie tyle z bezpośredniego, ile z pośredniego zagrożenia. Cesarz Mikołaj, zimny i wyrachowany, mógł przecież w każdej chwili pomóc Austrii w jej walce z Włochami. Gdyby zajął Galicję, zabezpieczywszy w ten sposób monarchię austriacką przed rewolucją na tym terenie, Wiedeń mógł swobodnie uporać się z buntującym się Piemontem. Byłoby to więc zagrożenie podwójne. Z jednej strony wzmocniłaby się Rosja, która nigdy nie oddaje terenów raz zabranych, z drugiej – sfera oddziaływania osłabionej wprawdzie, ale i zabezpieczonej Austrii przeniosłaby się wyraźnie na zachód. Na obszarze włoskim jej interesy zetknęłyby się bezpośrednio ze sferą wpływów francuskich. Zbrojne konflikty byłyby zapewne nie do uniknięcia. Na szczęście Wiedeń z oferty cesarza Mikołaja wówczas nie skorzystał. Metternich był zawsze bardzo chytry, wiedział, czym groziłaby w konsekwencji taka pomoc. Od wielu lat, jeszcze od czasów Mikołaja, dbał w swoim życiu kanclerz austriacki o jedno: o zapewnienie monarchii habsburskiej należnego jej pierwszego miejsca w Europie Środkowej. I niezależnie, co się o nim mówi i jakie miejsce wyznaczy mu w przyszłości historia, która jest często sterowana zawiścią współczesnych, jedno jest pewne: polityce zagranicznej Metternicha Austria bardzo wiele zawdzięcza.

Natomiast republikańska Francja zdaje się jeszcze tego lęku przed Mikołajem nie odczuwać. Może dlatego, że jest jeszcze taka młoda, zaledwie kilkutygodniowa? Lamartine podkreśla, że rozumie niebezpieczeństwo wynikające ze strony imperialnej Rosji. Nie pragnie także rozszerzenia się potęgi monarchii habsburskiej w środkowej i południowej Europie. Stąd zapewne z zadowoleniem powitał rozruchy w Prusach i księstwach niemieckich. Dlaczegoż więc on sam, wyzuty od lat z ojczyzny emigrant, ma się lękać nowej republiki? Że nie rozumieją jego obecnej postawy najbliżsi współpracownicy? Ci, co bez wyraźnego przecież jego przyzwolenia sądzili, że budują obóz monarchiczny? Pisał szczerze kilka dni temu, choć wiedział, że jego wyznanie wywoła w umyśle siostrzeńca niepokój i zdziwienie: „Co do mnie, wiesz dobrze, że rozumem raczej niż sercem dzieliłem monarchiczne zasady za republikę zrodzone”. Zabolalo go jednak, gdy w liście Władysław Zamoyski odpowiedział mu z nie ukrywaną ironią, na którą sobie nigdy właściwie nie pozwalał: „Czytam z uszanowaniem i serdecznym uwielbieniem wyznanie wuja o pociągu serca jego od młodości do republikę”.

Ironia, zwłaszcza kogoś znacznie młodszego, kogoś, kogo się właściwie wychowywało i przysposabiało do politycznego myślenia, zawsze boli. Na kogoż mógł jednak przede wszystkim liczyć jak nie na nową, republikańską

Francję? Na Prusy? Możliwe. Ale jak tam wygląda sytuacja, zobaczy dopiero na miejscu. To, co opowiadają, może być bardzo przesadzone. Różne bałamutne wieści docierają na razie. Nie wolno także poddawać się oznakom zewnętrznym. Euforia ulicy jest zmienna jak... Nie potrafił znaleźć porównania. Może by się nasunęło ono kiedyś, wiele lat temu. Rozeszła się nawet pogłoska, że insurekcja wybuchła w Warszawie. Podobno Cytadela zburzona, ów symbol rosyjskiej tyranii... Byłoby to bardzo niedobrze. Gdyby te informacje okazały się prawdziwe, klęska nadejdzie nieuchronnie. Także i Galicja nie powinna jeszcze występować. Bardzo się o nią frasował. Może najbardziej. Rok 1846 pozostawił swoje tragiczne ślady, nie zatarty się one w pamięci. W takim razie nie tyle o sprawie polskiej należy obecnie rozmyślać, ile o sprawach polskich. Inaczej się one układają we wszystkich trzech zaborach, innych wymagają przygotowań. Jeszcze więc w dniu wyjazdu książę Adam zdażył napisać list do swojego szwagra, księcia Leona Sapiehy:

Moje rady są następujące: znieść natychmiast pańszczyznę z u p e ł n i e... unikać powstania i zaburzeń, oświadczać chęć nieodłączania się od innych prowincji i wymagania od nich i od środkowego rządu pomocy przeciw obcemu nieprzyjacielowi. W tym celu starać się, aby pułki galicyjskie wróciły do obrony swojego kraju, organizować straż bezpieczeństwa przeciw wewnętrznym rozbojom, odprawić niemieckich urzędników, którzy do rzezi zachęcali. Trzeba dać do zrozumienia, że wolność nie może istnieć w Niemczech z Moskwą będącą u drzwi. Ona tego nie ścierpi. Narodowość polska, a nawet niepodległość Polski są potrzebne, aby wraz z Niemcami Moskwie wydołać. Teraz nie schodząc z swojej linii działania masz piękną i otwartą drogę do przewodniczenia sprawom prowincji, do postawienia się na ich czele. Więc precz z pańszczyzną, nie trzeba jeszcze powstania ani chorągwi polskiej, ale w imię osobnej narodowości, osobnej prowincji, trzeba domagać się podobnych jak inne koncesji, a raczej sami je wziąć. Rzeczy na łeb na szyję leć, że nie ma jednej minuty do stracenia.

Ukrywa się w tym liście przede wszystkim bardzo wyraźny lęk przed carem Mikołajem. Wojska jego stały po prawej stronie Wisły i mogły bez najmniejszego trudu przekroczyć tę rzekę w jakimkolwiek miejscu. Przedwczesna insurekcja w Galicji na pewno by do tego doprowadziła.

*

Do Polski książę Adam Jerzy Czartoryski nie dojechał. Z Berlina zawrócił na zachód. Już 11 maja znajduje się ponownie w Kolonii. Zatrzymuje się w „lichej oberży”. Nikt nie wspomina, aby powiewał nad nią polski sztandar. Odwiedzających księcia Adama było także zapewne znacznie, znacznie mniej. Żadnych powitań i wiatów. Kilka tygodni wcześniej zatrzymał się w tym

mieście przyszły triumfator, człowiek numer jeden w przyszłej, odrodzonej Polsce, być może, że jej król lub prezydent. Takim widziała go niemal powszechnie polska społeczność i duża część społeczności niemieckiej. Teraz, w drodze powrotnej, zatrzymał się człowiek odarty ze złudzeń. Ktoś, kto raczej przegrał. To także sąd opinii, lecz nie samego księcia. Handelman napisze: „Wracał jeden z pierwszych z piekącym poczuciem: nic dla nas i po nas. Ale i z niezmienną swą wytrwałością”.

Cóż więc takiego się zdarzyło? Dlaczego spełził na niczym pobyt w Berlinie? Dlaczego książe Adam nie dojechał nawet do Poznania? Nic początkowo takiego obrotu sprawy nie zapowiadało. Nawet przeciwnie. Wedle relacji wspomnianego wcześniej dyplomaty francuskiego, Circourta, jednym z pierwszych, który przybył do księcia Czartoryskiego, był książe Sułkowski. Oddawał do dyspozycji Czartoryskiego „wagę swego nazwiska, pomoc swoich majątków i kłopoty wynikające z nicości osobistej”. Następnie zjawił się u księcia Adama hrabia Roger Raczyński, właściciel Rogalina, by – jak mówił ten sam Circourt – „pokierować jego postępowaniem w myśl swoich poglądów”. Przybyli i inni: Tytus Działyński z Kórnika, Heliodor Skórzewski z Lubostronia... Otoczenie księcia znacznie się więc rozrosło.

Najbardziej opiekował się jednak księciem Czartoryskim ambasador Francji w Berlinie – Adolphe de Circourt. „Mój charakter i pamięć na związek od paru lat istniejący skłaniały mnie w stosunku do niego do szacunku i prawie oddania” – pisał w swoich pamiętnikach. Circourt po prostu się obawiał, aby książe Adam nie pokrzyżował jego planów współpracy i oddania dla królestwa pruskiego. Chciał je, choćby częściowo, wyrwać spod wpływów imperium rosyjskiego i przyciągnąć do Francji. Takie zadanie postawił mu m.in. Lamartine. Po latach przyzna się Circourt do swojej nielojalności lojalnie: „Starałem się dowodami szacunku uzupełnić niedostateczność pomocy, którą mogłem mu okazywać, okazując mu moc małych usług zamiast jednej wielkiej”. Jakiej „wielkiej” pomocy spodziewał się zatem Czartoryski? Przede wszystkim, a właściwie wyłącznie, liczył książe Adam na to, że dyplomata francuski przekona króla i rząd o konieczności pomocy zbrojnej dla oddziałów polskich, gdyby rewolucja przekroczyła granicę i rozszerzyła się na teren zaboru rosyjskiego. Taka pomoc byłaby oczywiście równoznaczna z wojną, w której z jednej strony znalazłyby się Prusy, Francja, może i Anglia, z drugiej – Rosja. Trudno na razie powiedzieć, co wobec niepokoju społecznego w Wiedniu i na Węgrzech czyniłaby w takiej sytuacji Austria. Jakie wobec tych myśli księcia, zdradzonych Circourtowi, mogło być i było stanowisko Prus? „Minister Arnim dążył wprawdzie do wojny z Rosją w oparciu o pomoc Francji, ale król, dwór i generalicja były jej stanowczo przeciwne” (Witold Jakóbczyk). Nielojalność Circourta polegała więc po prostu na tym, że udając przyjaźń z Czartoryskim

i dzielając w rozmowie z nim jego poglądy, informował o swoich spotkaniach Fryderyka Wilhelma IV i czynił wspólnie z nim wszystko, aby plany księcia Adama się nie powiodły, więcej, aby w ogóle nie wzbudziły one jakiegokolwiek mocniejszego rezonansu.

Nic więc dziwnego, że książę, mając takiego „opiekuna i przyjaciela”, niewiele w istocie mógł zdziałać. Tym bardziej że w ogóle nie domyślał się, jaką rolę wobec niego gra Circourt. W pierwszej fazie pobytu w Berlinie absolutnie się nie orientował, jaką akcję dyplomatyczną rozpoczęto wobec niego od razu po jego przyjeździe. Już 30 marca dawna bliska znajoma księcia Adama, jeszcze z czasów Kongresu Wiedeńskiego, księżna de Dino, ówczesna wieloletnia kochanka księcia Talleyranda, pracująca teraz dla wywiadu francuskiego, lecz prawdopodobnie i pruskiego, a może nawet rosyjskiego, pisała: „Książę Adam Czartoryski przybył tutaj wczoraj. Nie potrzebuję zaznaczać, co to za nowa komplikacja”.

Była to prawda. Król pruski był bardzo zdenerwowany przybyciem księcia, także większość jego ministrów. Czyniono wszystko, aby nie nawiązać z nim bezpośrednich kontaktów. Wyraźnie domagał się zajęcia takiej postawy ambasador rosyjski w Berlinie, Piotr Meyendorff. Czekał on wprawdzie początkowo cierpliwie na to, co wyniknie z przyjazdu księcia, lecz wkrótce zaczął się domagać jego wyjazdu z Berlina. Nie stronił nawet od szantażu, że jeśli to nie nastąpi, on sam opuści stolicę królestwa pruskiego. Podobnie postąpili dyplomaci austriaccy, co zresztą nie było dziwne. Wyraźnym zaskoczeniem, a nawet szokiem, stała się natomiast solidaryzująca się z nimi postawa dyplomatów angielskich. Tego się nie spodziewał nawet dwór królewski. Co było przyczyną ogólnego zaniepokojenia? Rozeznanie w prawdziwych zamiarach księcia Czartoryskiego.

Zdradził to Adolphe de Circourt już 30 marca. „Wydaje mi się – pisał w swoim raporcie – że szczerym pragnieniem księcia jest opóźnić, jak tylko przezorność i honor na to pozwolą, wybuch wojny z Rosją, ale uważa ją jako ostatecznie nieuniknioną”. Oczywiście Berlin, to znaczy król i jego dwór, był zaniepokojony nie tym, że Czartoryski nie dąży na razie do wojny z rosyjskim mocarstwem, lecz tym, że wcześniej czy później widzi taką konieczność. Europa zaś wojny z Mikołajem nie pragnęła, więcej, zrobiłaby wszystko, aby do niej nie doszło, aby nic nie zagroziło spokojowi kontynentu, i tak już zakłóconego rozruchami społecznymi. Nie było przecież wykluczone, że gdyby rewolucja w Poznańskim przeniosła się poza granice i przedostała na tereny zaboru rosyjskiego, Mikołaj wypowiedziałby wojnę Europie, aczkolwiek niechętnie i tylko dlatego, że zostałyby do niej zmuszony. Podobno bardzo poważnie liczył się z taką ewentualnością.

Książę Adam Czartoryski starał się wprawdzie działać bardzo delikatnie. Nikogo natarczywie nie namawiał i nie starał się przekonywać, jeśli napotykał wyraźne opory. Ziemiaństwo poznańskie niechętnie słuchało jego dalekosiężnych planów. Może i dlatego, że sytuacja zaczynała się szybko zmieniać na gorsze. Mimo kilku wygranych potyczek i bitew walka zbrojna na tamtym terenie szybko dobiegała kresu. Mierosławski, który przybył do Poznania i w końcu marca stanął na czele Wydziału Wojennego, bardzo szybko uległ wojskom generała Colomba. Popełnił błąd: zawahał się wezwać pod broń chłopów. I jego straszło widmo Szeli. W ten sposób wojna w Poznańskim stała się wojną „pańską”. Najpierw zawarł Mierosławski układ jarosławiecki (11 kwietnia). Zadowolona była z tego układu szlachta, natomiast chłopów wołali „zdrada”. W jakiś czas później odniósł zwycięstwo pod Miłosławiem (30 kwietnia), lecz w dziesięć dni później jego korpus rozpadł się, a on sam dostał się do niewoli. Poznańskie wracało do dawnego spokoju. Szlachta doszła do wniosku, że porozumienie z zaborcą jest niemożliwe. Jej opór w stosunku do Prusaków winien się jednak odbywać na drodze legalnej. Sympatyzujący do niedawna z polskimi aspiracjami wyzwolenческими Niemcy przestraszyli się buntów poznańskich. Ich do niedawna szczera radość na widok powracających do kraju polskich emigrantów tak dalece uległa wygaszeniu, że nie udało się już odkryć najmniejszych jej śladów.

Co czyni natomiast książę Adam? Zorientował się jednak pod koniec swojego pobytu w Berlinie, że nie ma co liczyć na rząd pruski. Nawet więcej, doszedł do wniosku, że w Niemczech tego obszaru ukrywa się wyraźna wrogość do Polaków. Wespół z przybyłym do Berlina Władysławem Zamoyskim powstrzymuje więc rodaków przed całkowitą rozpaczą i determinacją. Przestrzega ich usilnie, aby się nie rzucali „w bój zaślepiony, a moskiewskiemu carowi tylko przydatny”. Postanawia opuścić Berlin i zamierza jechać do Wiednia. Sam starał się nie okazywać swojej rezygnacji, choć był bardzo bliski całkowitego załamania. Zwłaszcza wówczas, gdy w kilka dni po ugodzie jarosławieckiej otrzymał pilną depeszę z Londynu, w której Stanisław Koźmian relacjonował mu swoje spotkanie z ministrem Palmerstonem. Miało ono miejsce, o ironio, także 11 kwietnia. „Rząd nie uczyni nic – mówił angielski minister – by zachęcać Polaków do powstania, ma nadzieję, że Polacy nie uczynią tego, nim nadarzy się dobra sposobność”. Sens tych słów znał Czartoryski bardzo dobrze. Nieraz już się z nimi zetknął. Ale jeszcze boleśniej dotknęła go wiadomość, że w Anglii, a zwłaszcza w Londynie, nie ma sprzyjającej atmosfery dla Polaków. „Wszyscy się od nas odwrócili – pisał Koźmian – dlatego, trudno mi odpowiedzieć, choć kilka powodów znam”.

Była to wiadomość prawdziwa. Przebywający w tamtym czasie w Anglii na wygnaniu były kanclerz Austrii, Klemens Metternich, w swoich listach także

kilkakrotnie o tej złej aurze dla Polaków wspomina, nie ukrywając oczywiście swojego zadowolenia. Czym ta zmiana postawy Anglików, zwykle sprzyjających sprawie polskiej, była wywołana? Przede wszystkim informacjami, jakie dzienniki berlińskie podały pisząc, że w Poznańskim grupy polskiego plebsu i chłopów poturbowały pewną liczbę niemieckich i żydowskich mieszczan. Mówiono nawet o wypadkach śmiertelnych. Nie jest ważne, na ile wiadomości te były prawdziwe, istotne jest natomiast, że były jednostronne. Za prasą pruską podały je dzienniki londyńskie, umiejętnie rozdmuchując w niektórych szczegółach, co zapewne nie obyło się bez wpływu możnych i znaczących protektorów angielskich księcia Metternicha, choćby zawsze niechętnego Polakom księcia Wellingtona. Metternich, kilka zaledwie lat młodszy od Czarotoryskiego, jawnie sobie pokpiwał w salonach londyńskich z księcia Adama, nazywając go kilkakrotnie „manekinem rewolucji”, a więc jak gdyby kimś zupełnie nie znaczącym w wydarzeniach, które nastąpiły po przewrocie lutowym.

Książę Klemens Metternich, człowiek z swojego punktu widzenia niezmiernie rozsądny, będąc na emigracji zawsze uważał, że w okresie półwiecza rządzenia polityką zagraniczną Austrii nigdy nie popełnił błędu, a obiektywnie, z dzisiejszej perspektywy, jeden z najmądrzejszych i najprzebieglejszych polityków epoki, która właśnie odchodziła w przeszłość (choć nie całkiem bezpowrotnie, jej agonia przedłużyła się przecież właściwie na całe drugie półwiecze), w ogóle nie rozumiał polskich polityków, zwłaszcza właśnie Czarotoryskiego i jego zwolenników. Nie mógł sobie bowiem wytłumaczyć, jak to się dzieje, że ci prawdziwi polscy arystokraci są równocześnie takimi zaciekłymi, jak sądził, rewolucjonistami, jakobinami niemal. Na znanym mu obszarze zjawisk politycznych nie znajdował analogii. Poza jednym, na początku kariery kanclerskiej, ale miało ono miejsce we Włoszech. Uznawał, że żal Polaków za utraconą ojczyznę „jest uczuciem naturalnym i słusznym – jak pisał w liście do ambasadora Austrii w Rzymie, Lützowa – staje się jednak karygodny, gdy chce być zasadą działania. Prawo publiczne musi ją uznać za karygodną, ponieważ Kongres Wiedeński ustalił los Polaków w sposób nieodwołalny, po stronie trzech mocarstw jest prawo posiadania, które się stało równie słuszne jak prawo każdego innego państwa”. Metternich uważał, że polski ruch niepodległościowy jest w swojej istocie rewolucyjny i nazywał go „polonizmem”, łącząc w tym pojęciu poczynania różnych ugrupowań i orientacji, arystokratów z demokratami, konserwatystów z prawdziwymi rewolucjonistami. Wychodząc z takiego założenia, nie rozumiał, dlaczego polscy chłopci wierni są monarchom, a czynnikiem rewolucyjnym jest szlachta. Dlaczego polska szlachta była inna niż w pozostałych krajach europejskich? Nad tym pytaniem Metternich się niekiedy biedził i nigdy go nie rozwiązał. „Polonizm – pisał do tego samego Lützowa – w obecnej swej fazie nie jest niczym innym jak powszechną rewolucją rady-

kalną. Polonizm wypowiada wojnę nie tylko trzem mocarstwom, które są w posiadaniu dawnych ziem polskich, wypowiada ją wszystkim istniejącym instytucjom, głosi zburzenie wszystkich podstaw, na których opiera się społeczeństwo, jest zbrodnią przeciwko rodzajowi ludzkiemu”. Wskutek takiego braku rozróżnienia politycznego w polskim ruchu niepodległościowym okazało się, że według Metternicha książę Czartoryski „*suit la bannière du communisme*”.

Prawie całkowitemu załamaniu uległ dopiero książę Adam 1 maja, gdy Brunet-Denon, francuski *chargé d'affaires* w Berlinie, poinformował go o tym, że generał Castiglione zbombardował 26 kwietnia Kraków z armat ustawionych na wzgórzu wawelskim. Postanowił od razu swój wyjazd przyspieszyć. Zrezygnował także z podróży do Wiednia. Myślał raczej teraz o przybyciu do Frankfurtu, na który wobec wygasania fali rewolucyjnej w Prusach patrzyły obecnie oczy wszystkich ludzi związanych z „wielkim ruchem” zapoczątkowanym w lutym w Paryżu. „W Europie panuje jakaś dziwaczna sugestia, której poddają się wszyscy, od Londynu przez Warszawę do Petersburga. Każę ona widzieć we Frankfurcie jakąś nowoczesną Mekkę, kuźnię nowych ideałów, z której ma wyjść według jednych objawienie nowej prawdy, według innych, według Mikołaja, technienie złego ducha” (Handelsman). W każdym razie prawdą jest, że stamtąd wyszła propolska uchwała zgromadzenia przedparlamentarnego (27 kwietnia). O jej entuzjastycznym przyjęciu przez wszystkich, którzy zjechali się do Frankfurtu, Czartoryski musiał się dowiedzieć jeszcze w Berlinie. Nie wiedział natomiast, bo wiedzieć nie mógł, że już 27 lipca z tego samego miejsca wyjdą słowa nienawiści w stosunku do Polski, „urągające przeszłości, teraźniejszości i przyszłości naszego narodu”.

Pozostało teraz księciu Adamowi napisać pożegnalne i dziękczynne listy. Napisał także do Lamartine’a, zapowiadając swój powrót, bo ostatecznie postanowił jednak wracać prosto do Paryża. Natomiast list do „opiekuna”, Circourta, miał charakter półprywatny. Apelowal w nim Czartoryski do rządu i parlamentu francuskiego. „Poparcie moralne, ale zdecydowane Francji nam się należy – pisał. – Do niej może należy uzgodnić głosy rządów zainteresowanych i zmyć z Europy zbrodnię, za którą kara nie jest jeszcze u swego kresu”. Mówiąc o „zbrodni”, wyraźnie książę Adam wskazywał na zbombardowanie Krakowa przez Austriaków.

Nie wiadomo, dlaczego oberża w Kolonii była „licha”. Może pokoje były brudne, łoża zbyt twarde i wygniecione albo jadło za bardzo plebejskie, prostackim gębom niemieckim tylko odpowiadające? Może po prostu w tej drodze powrotnej wszystko już wydawało się księciu Adamowi odmienne, liche, mało warte, szare? Był na pewno bardzo zmęczony, i fizycznie, i psychicznie. Podsumowując swój pobyt w Berlinie musiał wiedzieć, że o wiele więcej wypada w bilansie minusów niż plusów. Może i przeczuwał już także, że autorytet jego

niewiele podupadł, że zaczął go tracić na rzecz polityków i działaczy młodszych, bardziej zapewne energicznych, takiego Wielopolskiego, który, cóż tu dużo mówić, po prostu zdradził księcia Adama, poszedł swoją, jakże odmienną drogą; takiego Adama Potockiego z Krzeszowic, który usiłuje dogadać się z Wiedniem? Bardzo możliwe. Ale możliwe także, że przed całkowicie negatywnym obrazem dokonań berlińskich uchronił księcia Adama gniew.

Był politykiem starej daty, prawda, lecz chyba dlatego tkwiła w nim ta głęboka wiara, jeszcze z oświeceniowej polityki XVIII w. wyniesiona, że państwa europejskie muszą zgodnie protestować i piętnować zbrodnie, jeśli obca przemoc popełni je na jakimś narodzie. W niczym nie uległy zmianie jego poglądy, które zawarł w książce o dyplomacji, napisanej prawie dwadzieścia lat wcześniej. Może tylko żałuje, że nie opublikował jej pod swoim nazwiskiem. Być może, że jej oddziaływanie byłoby o wiele silniejsze, że jakoś by poruszyło rządy europejskie. „Porządek naturalny i moralny rodzaju ludzkiego – pisał – może się utrzymać, a święty cel jego istnienia na ziemi może być poszanowany i nie narażony na szwank pod tym tylko warunkiem, że każdy naród pozostanie tym, czym zawsze był i czym ma prawo na zawsze pozostać, to znaczy odrębną i oddzielną częścią rodzaju ludzkiego. Jest rzeczą oczywistą, że jeden naród nie może na gruncie prawa zawładnąć innym narodem, albowiem w ten sposób pozbawiłby ten naród podległy środków do spełnienia celu, który Bóg wyznaczył ludziom, obdarzając ich istnieniem. Wiąż obojętność, której zadanie polega na tym, żeby ludzie mogli dostępnymi im środkami ludzkimi kroczyć po drogach natury i jej Stwórcy, nie jest w stanie zniszczyć tych dróg”. Jedno jest pewne: *Essai sur la diplomatie* nigdy nie dotarł na półki biblioteki Klemensa Metternicha, a jeszcze bezpieczniej: jeśli nawet dotarł, książki tej kanclerz Austrii nigdy nie wziął do ręki. Mimo że obaj książęta posługiwali się tym samym językiem. Obaj na przykład mówili o „rodzaju ludzkim”. Lecz w jakże odmiennych kontekstach!

Walka księcia Czartoryskiego z carem Mikołajem na takiej właśnie płaszczyźnie etycznej, moralnego prawa narodów, się rozgrywała. Nie czuł on nienawiści do narodu rosyjskiego. Wroga widział jedynie w Moskwie, symbolu wschodniego, carskiego despotyzmu. Dla wszystkich Polaków, tych w kraju i tych na emigracji, miarodajne były słowa Adama Mickiewicza: „My co jesteśmy z tego ludu, którzy wysilając się do ostatka, stawia opór Rosji, my co idziemy w tym szeregu, gdzie jak Garczyński powiada: «Pokolenie za pokoleniem ginie, jak w ogniu ofiary...» my mieliśmy odwagę wyrzec, że nienawiści do Rosji nie mamy”. Mówiąc o Rosji, myślał oczywiście Mickiewicz nie o państwie, nie o carze i dworsko-urzędniczej koterii petersburskiej. Myślał to samo, co jeszcze pod koniec listopadowej insurekcji mówił Joachim Lelewel,

adresując swoją słynną odezwę *Do braci Rosjan*, w których widział „naród z innymi ludami do wolności wzdychający”.

I, być może, już w tej „liczej oberży” energia wywołana gniewem zmusiła księcia Adama, by ponownie, po raz któryś, wrócić do spraw węgierskich. Pomyślał, że skoro tu, na Północy, nie ma już na co liczyć, trzeba zwrócić oczy na Południe. Dobrze by się więc bardzo stało, gdyby od narodu polskiego przesłano przez specjalnych emisariuszy życzenia dla narodu węgierskiego. Idąc za tą ideą, wysłał książę Adam na południe Bystrzonowskiego, polecając mu przy tym cel zasadniczy podróży: przygotowanie „*une union cordiale entre la Pologne renaissance et la Hongrie déjà en possession de son indépendance*”. A potem trzeba znowu będzie się zabrać „do starych spraw: tureckiej i włoskiej, i nie zapominać o niewygasłym jeszcze doszczętnie kotle austriacko-habsburskim” (Handelsman).

1986

YET ONE MORE ILLUSION

S u m m a r y

The essay seeks to reconstruct, on the basis of historical materials, the feelings and thoughts Prince Adam Czartoryski had during his journey to Berlin. He is going there in the beginning of the Spring of Peoples, for judging by its initial stage he thought that a war could break out between Prussia, France and England. This would have given an opportunity to revive the statehood of Poland. Unfortunately, it turned out that France's policy towards Prince Adam was hypocritical. "Western" Europe did not think at all about triggering off a conflict with the Russian empire.

Translated by Jan Kłos